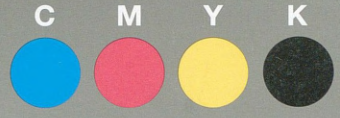
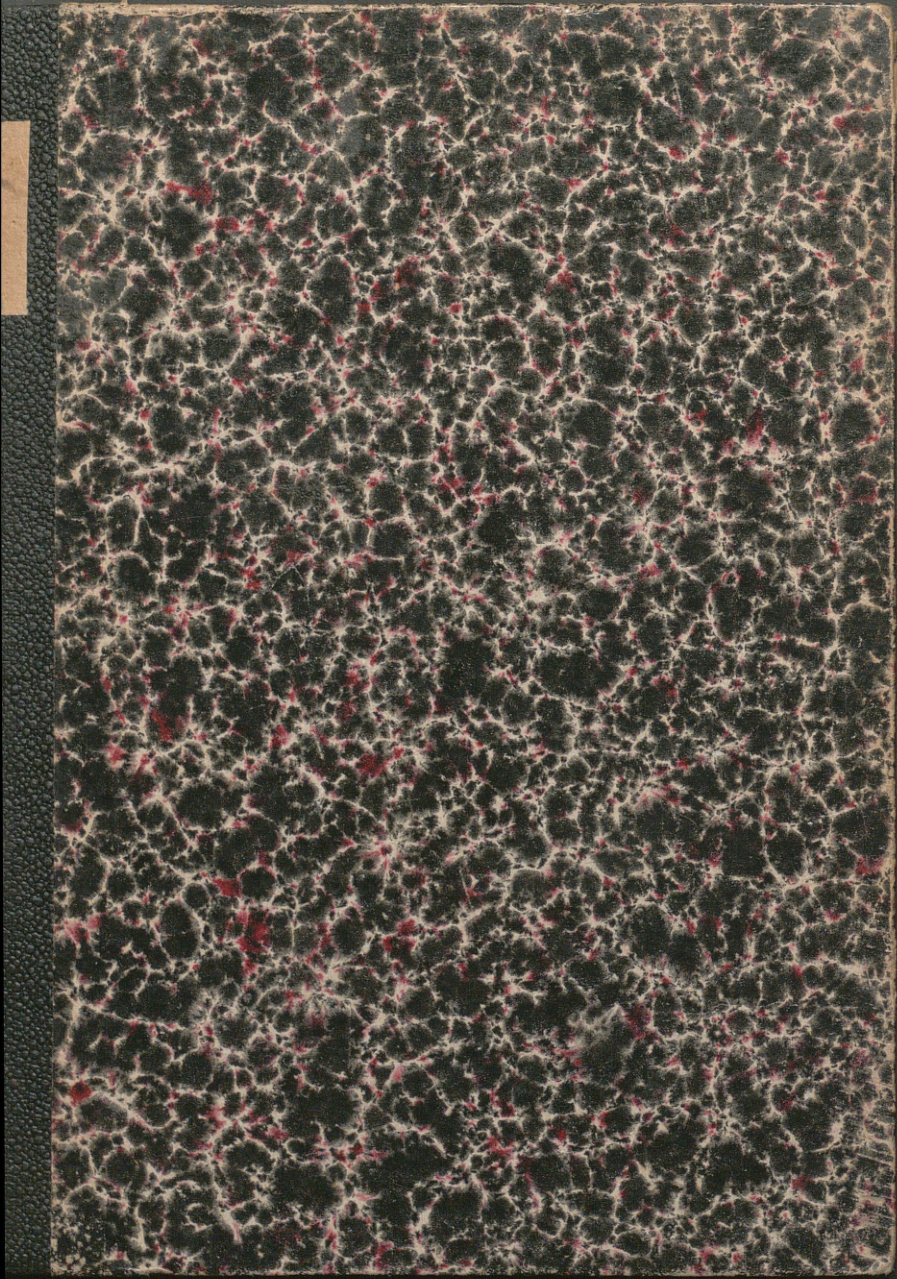
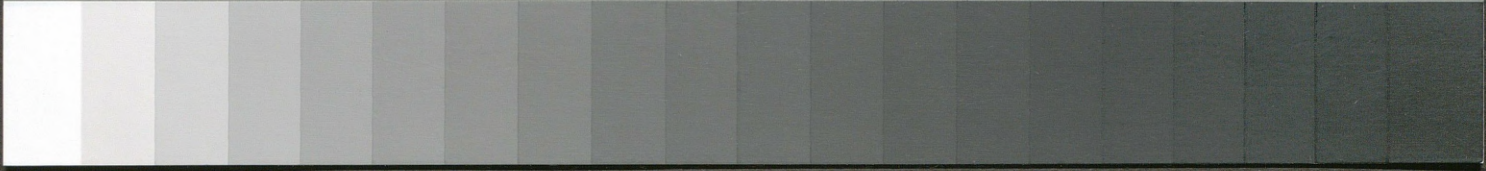


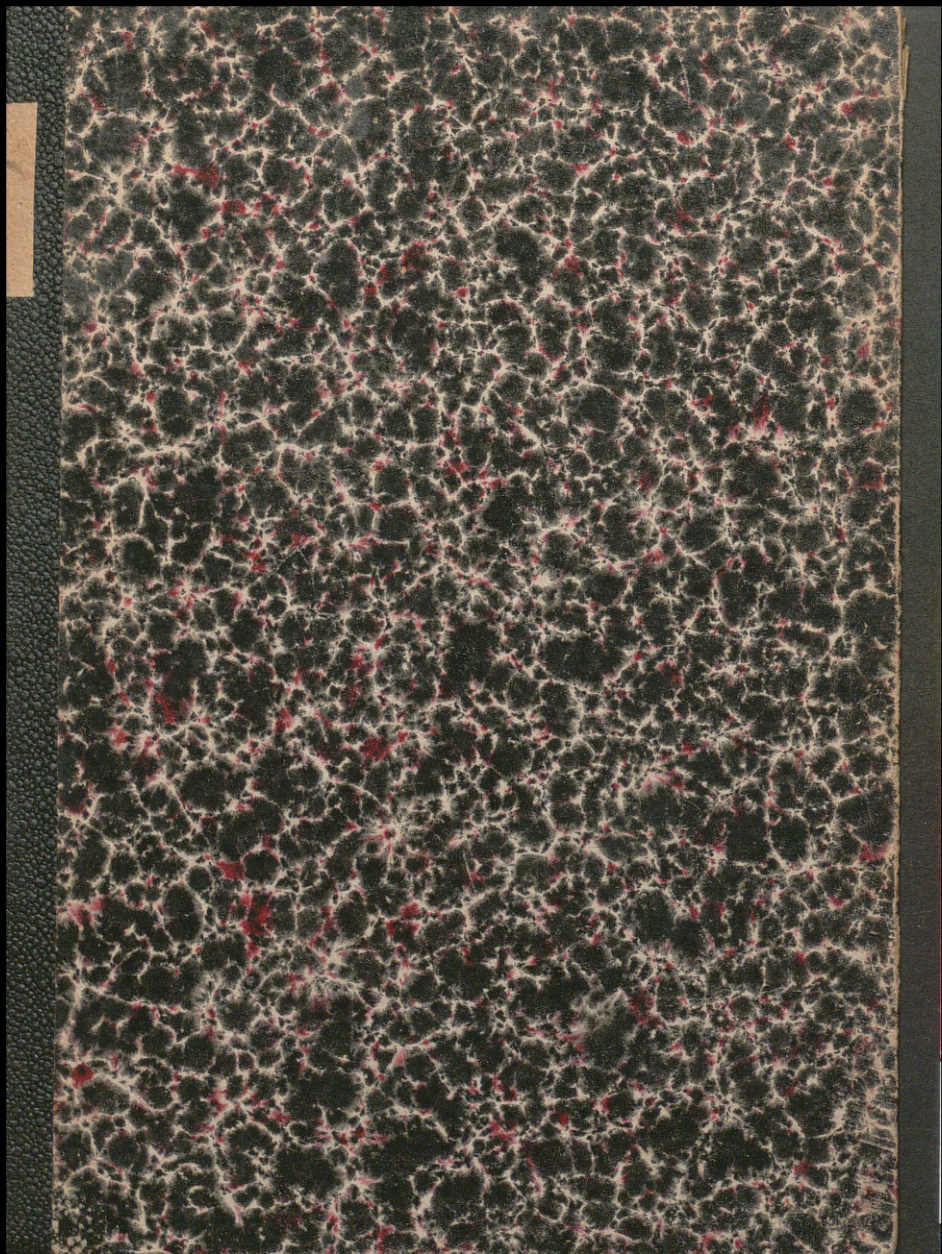


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

POD REDAKCJĄ PPEK. A. OPPMANA, MJR. S. G. M. PORWITA
I KPT. W. BRUMERA

TOMIK I

SPIS RZECZY

Dr. STANISŁAW SKŁADKOWSKI

general brygady

**POGADANKI O ZDROWIU
ŻOŁNIERZA**

WARSZAWA 1925

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO - WYDAWNICZY

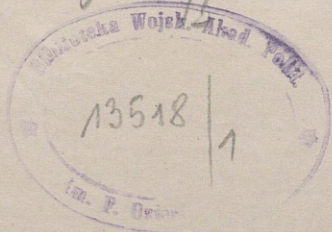
BIBLIOTEKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
POD KIERUNKIEM P. A. ORSZYMA, M. K. S. M. PORWITA
I KPT. W. BRZYŻY

TOM I

DR. STANISŁAW SKŁADKOWSKI
Szczeciński pułk



5062/1



WARSZAWA 1922

Druk W. Maślankiewicz i F. Jabczyński, Nowogrodzka 17

SPIS RZECZY.

	Str.
Czy warto wypełniać przepisy sanitarne	1
Szczepienie ochronne albo „szczypanka“	6
Wesz	12
Jak Wojtek Kozik Magdę stracił	20
Jak Paweł Kowalec pod sąd poszedł	25
Jak Walek Sęk pierwszy raz dyżurował w kompanji	28
Jak Onufremu Drozdowi rękę pokrajali	31
Jak Maciej Kraska o mało co nie zamarzył na śmierć w sam dzień Trzech Króli	35
Dlaczego Pietrek Swawola zemdlął w marszu	39
Jak zginął Józef Drzazga	43
Tarapata	48
Jak był ranny Wojtek Zawisłak	56
Jak Bartłomiej Kaczorek strzelał do Czerwonego Krzyża	59
Czy więc warto wypełniać te wszystkie przepisy sa- nitarne	64

SPIS RECY

56	Czy warto wykonać przepisy sanitarne
5	Stowarzyszenie ochronne albo „szarypanka”
16	Wasa
30	Jak Wojtek Kotik Marce stał się
35	Jak Paweł Kowalski podjął pracę
33	Jak Walek Sół nie wazył się brudzić w korytarzu
41	Jak Ondrejusz Drobowski robił sok z jabłek
45	Jak Maciej Kaska o małym co nie zamieszkał na śmiecie
45	w szarym dacie Tadeusz Kubiś
45	Dlaczego Piotrek Szewalski zamieszkał w mieszkaniu
47	Jak wyglądał Józef Dzikowski
48	Targowiska
48	Jak Szymon Wojciech Zawistalski
48	Jak Bartłomiej Karkowski stał się „Czerwonym”
48	Kury
48	Czy warto wykonać wszystkie przepisy sa-
48	nitarne

Czy warto wypełniać przepisy sanitarne.

Co tu dużo gadać, te przepisy sanitarne dają się człowiekowi, we znaki, to też, gdzie można człowiek rad sobie co do nich folguje, albo i zgoła opuści, gdy bardzo nie pilnują. No, bo tak przypomnieć sobie tylko. Ledwo rekruta ostrzygą i wykapiają, jak zaraz go pytają czy chorował na tyfus. Chłop Bogu ducha winien, nie wie co się święci, mówi. „Jak żywo nie!” Nie, a na to łapia brata, kłują igłą w rękę, albo piersi i zastrzykują krople, po którym febra i zimno człowiekiem trzęsie, jakby dopiero naprawdę chorował. Albo, maszeruje kompanja przez wieś, niewiadomo co ładniejsze i czerwieńsze jabłka na drzewach, czy gęby dziewuch we wrotach. Człowiek łyka slinę na jedno i drugie, choć zmęczony i nogi mu w... siedzenie od maszerowania powłaziły, a tu doktor mówi, że jednego i drugiego używać nie wolno. Jabłek nie wolno, bo we wsi cholera, ano i dlatego też nie pozwolą kwaterować we wsi tylko za wsią pod namiotem. „Bywaj Maryś, bywaj Magda

już cię oko moje nie zobaczy, bo jutro dalej idziemy!” Staniemy na kwaterach w mieście, albo we wsi, człowiek dostał przepustkę i już nawet koło „interesu” zakręcił się, a tu ci wywieszają „Pouczenie o chorobach płciowych” na cztery stronice. Piszą w nim takie okropności, że już przy czytaniu pierwszej stronicy człowiekowi ochota do wszystkiego odejdzie, zaklnie i pójdzie sam spać pod cienki kocyk, choć myślał, że wyśpi się w cieple i miękko. Idziesz w marszu, gorąco i kurz, że tylko ci białe bruzdy potu po czarnym ciele od czubka głowy, aż do pięt spływają. Język przylepił się do podniebienia, w gębie — pół fury piasku. Nareszcie studnia, wyjmujesz pustą manierkę, a tu ci tablica z napisem: „Wody bez przygotowania używać nie wolno!” To przecie by uszło, ale przy studni doktor, albo podoficer sanitarny stoi i ludziom wody brać nie daje. A tu z kawy rannej ani śladu, a i beczkwozów nie widać. Maszeruj, że dalej bracie, aż do kwater, albo do samej kolacji. Wszystko to nic, dopóki człowiek zdrowy, ale niechno zachoruje, albo będzie ranny. Wtedy już wszystko w łeb bierze. Człowiek naprawdę chory, a tu tak samo badają i leczą jakby przyszedł spróbować, uwolnić się z ćwiczeń. Dadzą termometr pod pachę i aspirynę, albo i gorzej, bo na przeczyszczenie, a obiad — sanitariuszowi. Szkoda zresztą opowiadać wam wszystkich utrapień, jakie sprowadzają na człowieka przepisy



Niewiadomo co ładniejsze i czerwieniejsze...

Właśnie nie jest to prawda. Zdrowie twoje nie jest
wylęczone, twa własność, lecz własność całego
narodu. Urodziłeś się na naszej ojczyźnie polskiej
ziemi, tak jak wszyscy z twojej kompanii i bataljo-

sanitarne, bo sami napewno je znacie i na nie narzekacie, a jak nie znacie, to napewno jeszcze poznacie, nie bójcie się. Chodziło mi tylko zawsze o to i chodzi, czy te uciążliwe i dojadające człowiekowi przepisy przydadzą się aby na co, czy są tylko na umęczenie człowieka. Mieliśmy w kompanji komendantem patrolu sanitarnego medyka, człowiek był rozsądny, można było z nim pogadać. Gadał ci „prosto i szczerze”, „prosto z mostu”, jak się gada w ziemiance, susząc onucze i grzejąc nogi przy piecyku. Co gadał o tych przepisach sanitarnych, opowiem wam później, teraz powiem tylko jak „zjechał” kolegę z naszej kompanji Gądka. Zgadało się coś raz przy kolacji, że przez ciemnotę zginął już nie jeden młody całkiem człowiek, który mógłby długo żyć jeszcze, bo nie wiedział, jak radzić sobie i postępować w życiu, żeby uniknąć choroby, i być długo silnym i zdrowym. Gądek, że to z miasta pochodzi i książek parę przeczytał, tak gębę otworzył i krzyknął: „Co mi tam umrzeć, to umrzeć, raz człowiek się rodzi i raz umiera. A przecież życie i zdrowie, to już tylko moje — niczyje więcej!” Na to medyk odłożył na bok menażkę z zupą, bo i pusta już była po prawdzie, i tak mówi do Gądka: „Otóż właśnie nie jest to prawdą. Zdrowie twoje nie jest wyłączną twą własnością, lecz własnością całego narodu. Urodziłeś się na naszej ojczyściej polskiej ziemi, tak jak wszyscy z twjej kompanji i bataljo-

nu, bez względu na szarżę, wiek i znaczenie. Żebyś wyjechał nie wiem jak daleko, do ziemi tej ciągnąć cię będzie i tęsknić do niej będziesz. Jeżeli unikniesz w życiu nieszczęścia wygnania i tułaczki, w tej ziemi ojczystej złożą twoje kości. Ziemi tej, szczęścia, życia i mienia jej mieszkańców, bronisz przed chciwością wrogów. Jeżeli zachorujesz lub umrzesz ty, drugi i dziesiąty twój kolega, będzie ta ziemia miała mniej obrońców. Jeżeli zachoruje twój starszy brat lub ojciec, który został w domu, to ziemi ubędzie gospodarzy, ubędzie żywicieli rodzin, ubędzie pożytecznych, pracujących ludzi. Życie więc i zdrowie twoje i nas wszystkich nie należy wyłącznie do nas, ale do całego narodu polskiego, do wszystkich zamieszkujących tę naszą ziemię polską. Jeżeli więc jesteś dobrym Polakiem, nie wolno ci mówić, że nie dbasz o swoje zdrowie, bo wtedy krzywdzisz nietylko siebie, lecz i twoich rodaków. Zdrowie i życie twoje należy do Ojczyzny i tylko dla dobra Ojczyzny wolno ci je poświęcić i nieść w ofierze". Uciszyło się po tem gadaniu i nawet Gądek parzył już z ust nie puścił, bo wiedział, że „wiara” wyśmiałaby go jakby jeszcze pytał. Mruczał ino coś pod nosem, no, ale to mu wolno.

Szczepienie ochronne albo „szczypanka”.

Była już wiosna, ale marzec mazał się jak stary łązik, proszący babę o mleko, więc z nieba lało noc i dzień. Zdawało się, że wszyscy święci leją z menażek dla biednej wiary zimną cieniutką kawę. Cały wieczór łązić musiałem w zalanym wodą okopie to z tym to z owym rozkazem, jak to przy kompanji. Zmoczony i unurzany w błocie, namacałem drzwi naszej ziemianki. Podoficer sanitarny siedział już, grzejąc się przy piecu.

— Bodaj was djabli wzięli z waszemi szczepieniami — ryknąłem mu prosto w ucho.

— Kilka dni temu szczepiliście ospę, teraz znów ten tyfus. Ręka tylko człowieka boli i zimno trzęsie. — Nie drzyjcie gęby napróżno, weźcie sobie kawę z piecyka i ściągnijcie przemoczone buty i portki, bo się zaziębicie — powiedział. — Znowu rady sanitarne „zaziębicie się”, przedrzeźniłem go, alem ściągnął łachy i napiłem się gorącej kawy. — I powiedzcie mi też zaczął znowu łapiduch — czy bardzo was to szczepienie ospy bolało? — Te, bolało nie bolało, tylko próżna strata czasu — mruknąłem. — A wiecie wy o tem, że nim szczepienie ospy wymyślili, całe wsie i miasta wymierały na ospę. Sto lat temu przeszło, jeden doktor angielski zauważył, że dziobaci ludzie, którzy ospę przeszli, już więcej na ospę

nie chorują. Zaczął więc szczepić z krost ospowych ludzi, a później z krost cieląt, które też chorują na ospę. — Ładne towarzystwo, chorować razem z cielętami. — To też dlatego żebyście nie chorowali, byku jeden, i nie mieli gęby podziurawionej, jak tarka, szczepią wam ospę.

We Francji, Anglii, Niemczech, gdzie szczepieni są wszyscy, niema ospy i dziobaty, u nas na wsi ludzie boją się jeszcze szczepienia, więc chorują. Moskał nie dbał o to, ale w Polsce napewno będzie obowiązkowe szczepienie na ospę.

— No, a przecież ja byłem już szczepiony, jakem był jeszcze małym bachorem. — Ba, szczepienie na ospę pomaga tylko na kilka lat, a potem znów można zachorować, bo szczepienie nie ma już siły. Przez ten czas wypilem kawę i włożyłem na wióry pod koc, więc jakoś mniej zły byłem i na doktorów i na szczepienie. — No, dobrze, to ospa, i szczepienie nawet nie boli, ale poco zastrzykujecie tę cholere i tyfus, po jaką naprawdę cholere?

— Cholere, bracie, i tyfus nauczyli się ludzie szczepić dopiero niedawno. Jeszcze starzy ludzie pamiętają, że w krymskiej wojnie pod Sewastopolem nie tylu zginęło od kul, co od cholery. Na 100 umierających żołnierzy, 70 umierało na cholere. To samo było w turecką wojnę. Znaczy to tak, że jak w tym tygodniu mieliśmy trzech zabitych w 4 kompanji, to, gdybyśmy stali pod Sewastopo-

lem, umarłoby nam prócz tego siedmiu na cholere, więc stracilibyśmy nie trzech, ale dziesięciu. Czy więc nie warto dać się ukłuć igłą parę razy, a za to nie tracić na paskudną chorobę nieraz najmniejszych kolegów. — No tak, a w cywilu ludzie nie szczepią na tyfus i cholere i też tak strasznie nie wymierają — powiedziałem, trochę już przekonany. — Ba, toście powiedzieli, jak ostatnia „uferma”, a czy cywila gania kto, tak jak was ganiają po deszczu i wodzie, a czy zawsze jednakowo dojadą was kuchnie, czy nie musicie nieraz jeść obiadu razem z kolacją, jak mochy rypią cały dzień z armat i nie dadzą kuchniom podjechać, a czy to nie spaliście nieraz w zimnej stodole, albo przy ognisku, co z jednego boku dziurę w płaszczu przepalicie, a w drugi zmarzniecicie? Chybaście to wszystko przeszli i nie dziwicie się, że naszego brata choroba łatwiej zmoże, jak wyspanego w cieple i najedzonego cywila. Dlatego właśnie Państwo, które dba o swoje wojsko, nakazuje szczepienia, żeby ochronić żołnierzy. — No, tak, ale szczepienie boli!

— Toście nie baba i do jutra wam przejdzie. Teraz śpijcie, bo i mnie chce się spać! W piecyku już dogasały czerwone szczyпки. Usnąłem i, choć w nocy miałem trochę gorączki, do rana przeszło mi prawie zupełnie. Łeb miałem tylko jeszcze ciężki. Chciałem wstać, ale sanitarjusz mówi: „Poleżcie se do południa, pójdę zameldować do-

wódcy kompanji i doktorowi w bataljonie”. Tak i zostałem pod ciepłymi kocami. Medyk wrócił, przyniósł kawę, zagrzał ją na piecyku, naładował gałązek sosnowych na ogień, że aż w całej ziemiance trzeszczało i huczało, a ciepło miłe podeszło do człowieka, jakby go dziewczucha po rękę pogłaskała, i tak mówił: „Widzicie, słabiście trochę, a inaczej by to było jakbyście naprawdę na cholere, tyfus albo czerwonkę zachorowali. Tak, teraz będziecie na pół roku bezpieczni, ale mimo to pilnować się musicie. Chorób zaraźliwych jest dużo, na wszystkie trudno szczepić, przechodzą one od chorego człowieka nieraz do najzdrowszego tak, że niema co liczyć na swoje zdrowie, lecz wystrzegać się tych chorób. Tu wyjął z chlebaka małą cienką książeczkę i tak czytał: cholery, czerwonki i tyfusu brzuszego unikniemy przez zupełne nieużywanie surowej wody i owoców, w czasie panowania tych chorób. Bieliznę, ubranie i pościel chorego na cholere, czerwonkę, i tyfus brzuszny należy poddać dezynfekcji, słomę spalić. W czasie panowania tych chorób należy z każdym cierpieniem żołądkowem lub kiszkiowem (czyszczenie i boleści) — niezwłocznie zgłaszać się do lekarza. Myć często ręce. Najważniejszą rzeczą jednak, jest niestykanie się z chorym i natychmiastowe usunięcie go z kompanji i oddanie go do szpitala. Stolce chorego należy zalać wapnem rozpuszczonem w wodzie.



Chciał mi iść po obiad ale nie gupim ..

Tyfus plamisty przenosi się z człowieka chorego na zdrowego przez ukąszenie wszy. Jedyną więc radą przeciw szerzeniu się tej choroby jest odwszenie, czyli pozbycie się wszy zapomocą kąpieli i dezynfekcji bielizny, ubrania, kocy i sienników. Wolinę lub słomę należy spalić. Chorób zaraźliwych oczu unikniemy przez użycie jedynie własnych naczyń do mycia, ręczników i mydła. Z każdym cierpieniem oczu zwracać się do lekarza. Celem uniknięcia gruźlicy, czyli suchot, które przenoszą się w płwocinie chorego człowieka, nie wołno płuć na podłogę izby, sieni lub schodów, ale tylko do spluwaczek. Gruźlica zabiera corocznie setki ofiar w Polsce i obowiązkiem każdego obywatela kraju jest przestrzegać przed pluciem na podłogę nawet zdrowych ludzi.

Tu zamknął książeczkę, pogadaliśmy jeszcze o tem i owem, nadeszło południe, chciał mi iść po obiad, ale nie głupim: zawsze człowiekowi lepiej dadzą, jak sam pójdzie. Ubrałem się więc, stanąłem w kolejce przed kuchnią. Słońce świeciło przez chmury białe, co po niebie wędrowały, jak to w marcu. Siadłem se, zjadłem, pokrzepiło mię. Po południu zameldowałem się do służby, a na drugi dzień zapomniałem o szczepieniu.

W e s z.

„He! he! a to ci, bracie znalazł chłop o czym gadać! Zupełnie, jakby kto tego nie znał!” — powie każdy i... zacnie się drapać. Bo trudno się nie drapać, mówiąc o wszy, zwłaszcza, jeżeli już ją kto miał. Kto ich nie miał, nie czuł tego niemrawego, lekkiego, a ciąglego łaskotania na ciele, temu zdaje się „Chyba ja wszy mieć nie będę, bo przecież, jakże ja bym mógł mieć wszy!” Tak myśli każdy wstępujący do wojska.

Ale zato jakież rozczarowanie, gdy po kilku dniach, coś zaczyna jakby łązić i niepokoić raz na rękę, na boku, raz na brzuchu to znów za kołnierzem. Świeżo upieczony „wszarz” ciągle jeszcze nie wie, co to znaczy. Dopiero gdy podrażniony odwróci po ludzku koszulę na lewą stronę, a tu — wszy! „Rany boskie! mam wszy!!!” woła zrozpaczony, a wszyscy w śmiech. Bo wszy specjalnie umiływały sobie żołnierzy bez względu na czas i narodowość. Już dawny rycerz polski Chryzostom Pasek wspomina o wszach w swych pamiętnikach. Pan Zagłoba w chwilach zwątpienia w uratowanie życia mawiał: „Zginę ja i wszy moje”. Wreszcie w naszych czasach żołnierz, chcąc zaznaczyć swą biedę, mówi: „Bryndza, człowiekowi tylko wszy zostały!” Wszy więc stały się „towarzyszami broni” wyrobiły sobie prawo obywatelstwa w woj-

sku. Czy tak być powinno? Kto ma rację, czy ten, który strasznie boi się wszy, czy ten, który sobie nic z nich nie robi? Ano, najpierw zapoznajmy się z tym „miłym panem sąsiadem“ — wszą żołnierską: jak żyje, co robi, jakie nam daje szkody lub korzyści. Wszy zamieszkujące na człowieku są trzech gatunków: wesz głowowa, ubraniowa, łonowa. Wesz głowowa da się łatwo usunąć przez krótkie ostrzyżenie włosów i wysmarowanie głowy naftą. Wśród żołnierzy jest rzadko spotykana. Trapi głównie głowy kobiece. Jeszcze dziś po wsiach na głowach nawet i dzieci, od ciągłego drapania głowy przy wszach, robią się krosty, w których materja zlepia włosy i daje t. zw. kołtun. Kołtun taki jest nie do rozczesania, i roi się w nim od wszy. Jedyna rada — kołtun ostrzyć, a wszy wyczesać i zabić naftą. Afe cóż, kiedy ludzie u nas wierzą w bajki, że od ucięcia kołtuna można oślepnąć, i ładna nieraz dziewucha chodzi z takim gniazdem wszy na głowie, na swoje i innych utrapienie. Na szczęście, po wsiach ludzie po trochu zaczynają poznawać, co to czystość i kołtunów coraz mniej na świecie! Wesz łonowa, albo mendoweszka zamieszkuje włosy na łonie, pod pachami, a nieraz w przypadkach ciężkich w brwiach i rzęsach. Nabywa się menty przy stosunku z brudną kobietą, to też za chwilę kiepskiej przyjemności z cuchnącym brudem — „pechowiec“ musi się golić między nogami i smarować szarą

maścią. Ale najczęstszym, prawie nieodstępnym, najgorszym „towarzyszem“ żołnierza jest wesz ubraniowa. Znawcy twierdzą, że różnie wyglądają wszy bolszewickie, niemieckie, węgierskie i ukraińskie, ale to nieprawda. Szaro-białego koloru, wylęga się, podobnie jak wesz łonowa i głowowa, z jajeczek, zwanych gnidami. Podczas gdy gnidy wszy głowowej i łonowej są przyczepione do włosów, gnidy wszy ubraniowej złożone zostają między szwami koszuli, gaci lub ubrania. Przyczepione są one do nitek materiału, tak, że nie odpadają przy wstrząsaniu koszulą lub bluzą. Najwięcej widzimy ich pod pachami i wzdłuż szwu od kołnierza, czyli w miejscach najcieplejszych, bo najbliższych przylegających do ciała. Obecność większej ilości gnid w koszuli, a co gorsza w szwach munduru dowodzi już, że właściciel ubrania „szanuje“ wszy, nie wyrzuca gnid, jest to morowwszy „wszarz“, przy takim lepiej bliżej nie sypiać, a nawet nie siadać. Jedna samica składa 70 — 80 gnid. Po trzech, czterech dniach wychodzą z nich małe wszy. Żołnierz więc, którego oblażyły dwie wszy, może po czterech dniach doczekać się z nich osiemdziesięciu, a po ośmiu dniach stu sześćdziesięciu. Oczywiście trzeba na to wszy cierpliwie znosić, czyli być urodzonym „wszarzem“. Po osiemnastu dniach wesz zupełnie dorasta i może rodzić małe. Z tego widać, jakie setki wszy można na sobie wyhodować, o ile ich codziennie nie „bić“. Jak

każde stworzenie, mają wszy swoje zwyczaje i obyczaje.

Wesz odzieżowa nigdy nie mieszka na skórze człowieka, lecz w ubraniu, najczęściej w bieliznie i to w miejscach, leżących najbliżej ciała, a więc w szwach pod pachami, za kołnierzem kołto wrąbka koszuli. Stąd wychodzi na skórę na zer. Naogół wszy uciekają przed światłem. Lubią za to biały kolor. Stąd słuszne są często słyszane skargi żołnierzy, że w brudnej koszuli nieraz człowiek już niema ani jednej wszy, nałoży czystą bieliznę i wieczorem znajduje nieraz kilka dużych sztuk. Przywędrowały one do białej koszuli z munduru albo od brudnego sąsiada. Zato nie znoszą wszy zapachu nowej skóry i dlatego w butach i pod pasem spotykamy je albo u silnie zaszonych, albo gdy buty są tak stare, że zapach potu zagłuszył naturalny zapach skóry. W zimnie, albo w chłodniej wodzie wesz przestaje się poruszać, za to w ciepłe jest ruchliwa. Dlatego to w zimie na dworze wszy mniej dokuczają człowiekowi, a dopiero w nocy pod kocami „wiera” zaczyna się drapać aż trzeszczy. Bez pożywienia wesz żyje 2—3 dni. Poza ubraniem i pościelą utrzymuje się przy życiu również nie dłużej. W słomie, w siennikach żyje tylko parę dni i nie składa tam jajek. Raj dla wszy ubraniowej przedstawia siedzenie na człowieku w koszuli albo w mundurze. Czemże odplaca się wesz swemu

„gospodarzowi“ za ten raj? Oj nieszczęśliwie
Już piosenka żołnierska mówi:.. „Dręczy nas mos-
kał, dręczą wszy...“ Bo i prawda. Żołnierz zaw-
szony niema spokoju we dnie i w nocy. We dnie
co chwila sięga za kołnierz albo w zanadrze,
a w nocy drapie się, czochra, stęka i jęczy, jakby
go nie wszy, ale czarownice dusiły. Takiemu nie
trza nawet wszy w koszuli szukać. Wystarczy zo-
baczyć poorany pazurami kark, ręce, nogi i czerwo-
ne plamki na koszuli, żeby wiedzieć, że wszy chło-
pa obsiadły. Nie minie parę tygodni, a już jeżeli
się człek nie odwszy, powyskakują mu na rozdra-
panych miejscach krosty, ślimaczy się to, a ropie-
je coraz gorzej, aż nieraz do szpitala trza węd-
rować.

Chociaż żołnierz jakoś od tych wszy i opę-
dza się, a rozmnożyć się im nie da, to i niewie-
le wszy wystarczy, żeby wstydu narobić. Nieraz
słyszało się, jak po wyjściu wojska z miasta, pan-
ny mówiły jedna przez drugą: „takie miłe chłopa-
ki, ale cóż kiedy... tak strasznie były zawszone.“
No, na drugi raz taka panna od „miłych“ chłopa-
ków zdaleka trzymać się będzie. Ale wszystko
to nic, wobec głównego niebezpieczeństwa: wszy
przenoszą z człowieka na człowieka tyfus plamisty.
Wystarczy, aby wesz raz ssała krew człowieka
chorego, za kilka dni sama zapada na tyfus pla-
misty i udziela go przy ssaniu krwi innemu znów
człowiekowi. Tak jedynie dzięki wszy, rozprze-

strzenia się ta straszna choroba, od której zginęło w Polsce więcej ludzi, niż od kul w bitwach. Po ukąszeniu przez wesz chorą, zdrowy człowiek zapada na tyfus plamisty nie odrazu, ale dopiero po dwóch, trzech tygodniach. Choroba jest ciężka. Występuje duża gorączka i plamy na ciele chorego. Stąd nazwa tyfus plamisty. Na 100 chorych — umiera 10, albo więcej. Jediną obroną przed tą chorobą jest odwszenie, czyli wyzbycie się wszy. Jak to zrobić? Noszenie na piersiach woreczka z naftaliną, nacieranie się olejkami o ostrym zapachu pomaga bardzo mało. Najważniejszą rzeczą jest zmienianie co tydzień bielizny, wygotowanie jej w praniu, oraz częste mycie się i kąpiel.

Ponieważ, mimo to wszy żołnierza czepiają się bardzo łatwo, należy codziennie bez względu na zmęczenie dokładnie przeszukać bieliznę, mundur, płaszcz i koc i „wybić wszy i gnidy co do jednej. Lepiej to robić patyczkiem niż paznokciami, bo to i paskudnie, a głowicie, że przy rozgnieceniu wszy chorej na tyfus plamisty i roztarciu jej krwi można nabawić się również tej choroby. W razie spotrzeżenia, że masz coraz więcej wszy, mimo zachowania czystości i zmiany bielizny, należy oddać, płaszcz i koc do dezynfekcji czyli zabicia wszy gorącą parą, odbywa się to w specjalnych komorach. W ich braku można zabić wszy i gnidy w piecu do chleba, ale wszy giną trudniej i łatwo spalić ubranie. Gina, wreszcie, wszy

i gnidy przy prasowaniu bielizny gorącym żelazkiem przy starannem zaprasowaniu szwów. Oryginalny „polowy“ sposób gubienia wszy i gnid widziałem w 1915 roku. Idąc na pozycję pod Ożarowem przez las, ostrzeliwany przez artylerję rosyjską, zauważyłem zupełnie nagiego człowieka, spacerującego z papierosem w ustach naokoło złożonego na ziemi ubrania. Zbliżyłem się dosyć ostrożnie, przypuszczając, że mam do czynienia z warjatem. Zobaczywszy mnie, domniemany warjat stanął na baczność i zameldował: „melduję, że biję wszy i gnidy mrówkami. One pracują a ja se spaceruję“. Rzeczywiście, setki mrówek obsiadły brudne koszule, ciągnąc do mrowiska wszy i gnidy. Żołnierz ten upewnił mnie, że kwas mrowkowy, którym zostanie napojona koszula odstrasza później wszy na długi przeciąg czasu. Nie miałem sposobności przekonać się o tem. Z tego, cośmy widzieli, widać wyraźnie, że żołnierz wszelkimi sposobami powinien starać się oczyścić z wszy, by nie być obrzydliwym, albo nawet i szkodliwym dla swego i kolegów zdrowia „wszarzem“. Naturalnie, to, com wam tu o wszach powiedział odnosi się do czasu wojny, bo teraz w czasie pokoju w wojsku naszym, na szczęście, wszy coraz rzadziej czepiają się żołnierzy.

Jak Wojtek Kozik Magdę stracił.

Dużo ludzi marnuje się, można powiedzieć, niewiedomo dlaczego, tak przez głupotę. Taki los spotkał Wojtkę Kozika, z tej samej wsi co i ja. Na początku robienia prawdziwego wojska polskiego, byłem ci plutonowym. Wyturgałem tę szarżę po różnych ofensywach i odwrotach, bitwach i obozach jeńców, więc człowiekowi nic dziwne nie było i wiedział, czego i jak się trzymać. Stara wiara szykowała się dać szkołę rekrutom.

Ledwie przyszedł pierwszy transport rekrutów z kuferkami na plecach, a wystraszonych, jakby ich prosto matce z pod fartucha wyciągnęli, patrzę, a tu z tyłu wlecze się — Wojtek Kozik z naszej wsi. Tak jest, że on, ale smutny i markotny. Zwyczajnie człowiek niebywały ma „cykorję“ przed wojaczką. Jakem go zobaczył, tak mi odrazu stanęła w oczach łąka za chałupami i gęsi nad strugą i Magda Graleszczanka, z jasnemi jak len włosami, do której żeśmy jako wyrostki obydwaj się zalecali. Ale, żeś potem już kawał świata i ludzi złaził, więcem nie był już markotny na Wojtkę tem bardziej, że wiedziałem, że ze wsi musi wieść coś do żarcia, a u nas jak zwykle, była co do tego „bryndza“. Tak ci, chociażem plutonowy, walę do niego prosto i mówię: „Cóż to, stara małpo, ludzi już nie poznajesz?“ Wojtek zrazu wystra-

chał się, jak to rekrut, ale, jakim mu pomógł kuferek rozpakować, tak zobaczył, że chociażem „starszy”, ale mu krzywdy nie zrobię, i był bardzo rad. Ja też byłem rad, bo i chłop był niczego, a ser i wędzonka, tom już dawno takich nie jadł. „Cóż tam Magda?” pytam go.

A on mówi, że już są zmówieni i miał się nawet żenić, ale go do wojska wzięli. Zmarkociło mię trochę, ale co tam, przed żołnierzem świat. Juści ten, co dziewczuchy pilnował — musi ją mieć. Zaczął ci ich doktor oglądać i mówić im o paskudnych chorobach zaraźliwych, co je można złapać od takich ładajakich dziewczuch. Dał też im „pouczenie” na karteczce. Było tam napisane: „Chorobami płciowemi nazywamy takie, które udzielają się przy stosunku płciowym, czyli mówiąc poprostu przy „spaniu” z kobietą zarażoną. Chcąc uniknąć tych chorób, pamiętać należy, że większa część, a właściwie prawie wszystkie kobiety, udzielające się żołnierzom, są zarażone chorobą weneryczną. Chorobą weneryczną zarazić możecie później kobietę kochaną i zgotować jej zamiast szczęścia — cierpienia i chorobę, która, jak np. tryper, u kobiet bywa bardzo uciążliwa a może skończyć się nawet śmiercią.

Kto więc miał nieszczęście nabawić się choroby wenerycznej, ten przed ożenieniem się ma obowiązek pójść do lekarza i zapytać czy jest zupełnie wyleczony i nie zarazi swej żony. Choroby

weneryczne, czyli płciowe, polegają albo na wydzieleniu ropy z cewki moczowej i bólach w członku i kroku (tryper), albo występują jako owrzodzenie (szankier i syfilis). Wszelkie środki używane przy stosunku płciowym, celem ich uniknięcia, nie są dosyć pewne. Najpewniejszym, względnie, środkiem jest użycie tak zw. kondonu, czyli woreczka gumowego nakładanego na członek. Można go dostać w składach aptecznych. Dalej, chroni do pewnego stopnia od nabycia choroby wenerycznej wysmarowanie przed stosunkiem części płciowych tłuszczem. Środki te jednak bynajmniej nie są pewną ochroną przed chorobami płciowymi. Choroby wenerycznej nie należy tać, ani się jej wstydzić, lecz zwrócić się natychmiast do lekarza, aby móc rozpocząć w porę leczenie i uchronić od przypadkowego zarażenia się kolegów“. „Przeczytaliśmy tę kartkę razem z Wojtkiem“. „Zrozumiałeś se Wojtek mówię mu, że tu, a i wszędzie koło wojska kobiety kręcą się co dużo z nich zarażonych jest, żebyś się nie dał nabrać!“ A on: „Ni mówi, tego nie używam, mom swoją Magdę doma“. Tak było ze dwa miesiące.

Wojtek był w moim plutonie i, choć bestja żadnych paczek więcej nie dostawał alem go nie „sekował“ bo chłop był udatny. Służby nauczył się prędko i po obozie łąził, jak po swoim domu. Pyski mu się na nowo zaczerwieńczyły, a ślepie gdy przechodziły dziewczuchy, zaczęły mu błyszczeć, tak

jak dawniej do Magdy. „Wojtek mówię, pilnuj się, bo co złapiesz!“ „Ni, mówi, choć podoba mi się ta dziewczucha“. Patrzę ja a to Antka, co z kocykiem koło obozu się włóczy. „A poco ona kocyk nosi?“ mówi Wojtek. „Głupis, żeby w lesie na gołej ziemi nie leżała. Przyszedł dzień wyjazdu na front. Transport ładowali kilka godzin, a że las był tuż koło stacji, więc dziewczuchy z kocykami kręciły się koło wiary. Patrzę ja, a tu Wojtek leci za grubą Antką do lasu „Wojtek złapiesz“, krzycząc. Tylko ręką machnął. Już trąbili do wsiadania, kiedy przyleciał Wojtek.

„Idź że mówię tera, świniu, choć do podoficera sanitarnego to ci przemyje, przecie tak doktor mówił“. „E, co mi tam!“ powiedział. Na froncie, ledwie nas z wagonów wyrzucili, już kazali maszerować. Widzę ja, że mój Wojtek coś markotny, blady i w tyle zostaje. „Idź, Wojtek do doktora, bo pewnoś co złapał“. E, pójdę jutro“, mówi. Tak i zostało. Przy podrywaniu sekcji do ataku „raniło“ mię w prawą rękę i odesłali mię z innymi do szpitala. Patrzę, ja na stacji zbornej a tu siedzi Wojtek blady, mizerny, że pozał się Boże!

„Cóż ci to Wojtek, mówię, rannys?“ „Nie, chorym“. Przyszedł doktor, obejrzał Wojtka i mówi: „Cóżeś se chłopie narobił. Trzeba było odrazu przyjść do doktora, jakeś „złapał“, a ty ładnieś się urządził, Teraz goić się będziesz parę miesięcy,



Cóż ci to Wojtek, mówię, ranny?

a i to nie wiadomo, czy się całkiem wyleczysz, potem jak się ożenisz, to i żonę może zarazisz“. Wojtek tylko siedział i głowę zwiesił. Mało nie płakał. A poco taki głupi. Nie dość, że z „taką“ łązi, jeszcze do doktora później nie pójdzie i chorobę ukrywa. Mnie doktor powiedział, że za dwa tygodnie wygoję się, a potem urlop. „Jak mi dobrze pójdzie, to i Magdę zobaczę“ — pomyślałem. Żołnierz, byle nie frajer, to cały świat przed nim otworem.

Jak Paweł Kowalec pod sąd poszedł.

„Od wódki — rozum krótki“, mówią ludzie i mówią sprawiedliwie. Wódka odbiera człowiekowi rozum i robi z niego zwierzę. W nietrzeźwym stanie żołnierz popełnia najczęściej przestępstw służbowych, nieposłuszeństwa, ba nieraz zabójstwo. Skutki jednego upicia odbić się mogą na całym życiu człowieka. Tak było z Pawłem Kowalcem z trzeciej kompanji. Chłopak był cichy, wody nikomu nie zamącił, to też go i wszyscy lubili. Niktby nie pomyślał, że Paweł ze swojej kompanji, przed ukończeniem służby wojskowej, do więzienia pójdzie. A tak się stało. Jednej soboty przyjechali do Pawła szwagier i siostra.

Że to w sobotę po południu dzień był porządków i reperacji ubrania, tak mój Paweł wy-

czyścił wszystko „na glanc“, ułożył „w kostkę“, trzewiki wieczorem przed łóżkiem ustawił na „baczną“. „Jutro, mówi, pohulam se ze szwagrem“! Po obiedzie w niedzielę, na swoją biedę serdeczną, dostał i Paweł przepustkę na miasto. Co robił i gdzie chodził, nie wiadomo, dość, że koło dziejącej zjawił się Kowalec koło dyżurnego na bramie. Ten, juści, woła „przepustka“! Ale Kowalec, mocno wstawiony, wali go pięścią w nos i mówi: „Naści ode mnie przepustkę, jucho jedna“.

Dyżurny w krzyk, wylecieli z odwachu kapral z kilku, co byli na służbie, a Kowalec dalejże do kaprała: „To wy, mówi, człowiekowi spokojnie po niedzieli do koszar wrócić nie dajecie, tylko chcecie przepustki!“ Kapral wsiadł na niego ostro, kazał go złapać i odprowadzić na odwach, a tu Paweł, co wódka od niego, jak z szynku buchała, łaps kaprała za ładownicę!

Skoczyli inni i chłopą migiem do paki wsadzili. Na drugi dzień Kowalec przy raporcie mało nie płakał, co narobił. Nawet go wszyscy żalowali ale nie było innej rady, jak oddać pod sąd, bo na szeregowca i kaprała w służbie rękę po pijanemu podniósł.

Odprowadzili Kowalca do więzienia bez pasa, z kocykiem tylko pod pachą, odprowadzili go pod bagnetami, choć chłop napewno sam by poszedł, bo znów zrobił się cichy, jak go wódka minęła. Przed bramą czekał na niego szwagier ze

siostrą. Zapłakali serdecznie wszyscy troje. Już prędko Kowalca w domu nie zobaczą. Posiedzi dobrze za zbrodnię, której po pijanemu dokonał. A tylko trzy miesiące zostawało mu do końca służby w wojsku.

Ja Walek Sęk pierwszy raz dyżurował w Kompanji.

„Panie poruczniku, szeregowiec Sęk melduje objęcie służby szeregowca dyżurnego kompanji drugiej“, wybił słowo po słowie przy raporcie Walek patrząc „posłusznie“ w oczy dowódcy kompanji. Po „raport rozejść się!“ sierżanta szefa, poszedł do izby kompanijnej pomagać przy zbiórce na obiad, bo „wiara“ już menażkami dzwoniła i w ogonek stawała. Obejrzał menażki i ręce czy czyste, bo są takie brudasy, co od śniadania do obiadu, od obiadu — do kolacji resztki jedzenia trzymają, choć, wiadomo, to kiśnie i potem do doktora z chorym brzuchem latają. Po obiedzie dopilnował znowu mycia naczyń i, gdy kompanja na ćwiczenia wyszła, zajął się podmieceniem izby, bo śłota była na dworze, jak zwyczajnie w jesieni i ludzie błota ze dwie fury nanosili. Otworzył okna i drzwi żeby kurz miał gdzie wychodzić, pokropił trochę podłogę i zaczął zamiatać. Poznał zaraz, że poprzedni dyżurny nygus był nielada, bo



Poznał zaraz, że poprzedni dyżurny był nygus nielada...

menażek nymyła ich po kolacji. Gdy inni na
przepruśki poszli do miasta Sek trochę posiedział
se i obdpczał, do nogi go już dobrze dołaly. Po

na środku izby zamiótł jeszcze jako tako, ale pod łózkami, za stojakami na karabiny i za piecem, to smieci, jak mógł, pozostawiał. Walek kłął go w duchu od ostatnich, musiał drugi raz chodzić z menażką po wodę, żeby pokropić izbę, bo kurz z tych nietykanych miejsc poszedł, jak z komina, a przecie, wiadomo, w kurzu wszystkie choroby się lęgną i na człowieka czatują. Jak zamiótł izbę, przyszła kolej na umywalnię i wychodki. W umywalni pospłukiwał resztki jedzenia, co ludzie przy myciu menażek pozostawili i powycierał wodę. Nareszcie posprzątał wychodki, zalał je wapnem rozpuszczonym w wodzie, co stało w wiaderku przy drzwiach, umył ręce po tej niebardzo przyjemnej robocie i ledwo wrócił do izby, a tu, patrzy, kompanja z karabinami na „odtrąbiono“ już wali ze śpiewem we wrota podwórka koszarowego. Nim dowódca zatrzymał kompanję, dał „za szyjkę broń“ i „kierunek koszary marsz“, mój Walek zdążył już pozamykać okna, bo wiedział, że koledzy mogliby pochorować się gdyby, zgrzani po ćwiczeniach, do przeciągu w izbie przy pootwieranych oknach weszli. Zaraz też wiara sypnęła się w drzwi, jeden przez drugiego, stawiając karabiny i odpinając pasy z bagnetami i ładownicami. Znowu Sęk musiał dopilnować umycia rąk przed kolacją, czystości menażek, umycia ich po kolacji. Gdy inni na przepustki poszli do miasta Sęk trochę posiedział se i odpoczął, bo nogi go już dobrze bolały. Po

apelu pogasił światła i położył się zdrzemnąć do północy. O północy obudził go podoficer inspekcyjny. Nakrył się mój Walek płaszczem, siadł przy małej lampce co w rogu izby przy stoliku paliła się i napisał list do domu. Czas mu i tak dłużył się, powieki przed świtem same na oczy opadały, ale się nie dał, aż doczekał pobudki. Był zmęczony i niewyspany, ale dopilnował mycia się ludzi, zbiórek wszystkich. Znów posprzątał izbę, jak wczoraj, wywietrzył, tak żwawo, że miał czas posprzątać na schodach i na podwórku przed oknami kompanji. Zrobił wszystko, by podtrzymać porządek i zdrowie wśród kolegów kompanji. Zmęczył się setnie, nasprzątał się brudów, ale z ulgą i radością dobrze spełnionego obowiązku zameldował przy raporcie: „panie poruczniku, szeregowiec Sęk melduje oddanie służby szeregowca dyżurnego. W czasie mej służby nic ważnego nie zaszło!“

Jak Onufremu Drozdowi rękę pokrajali.

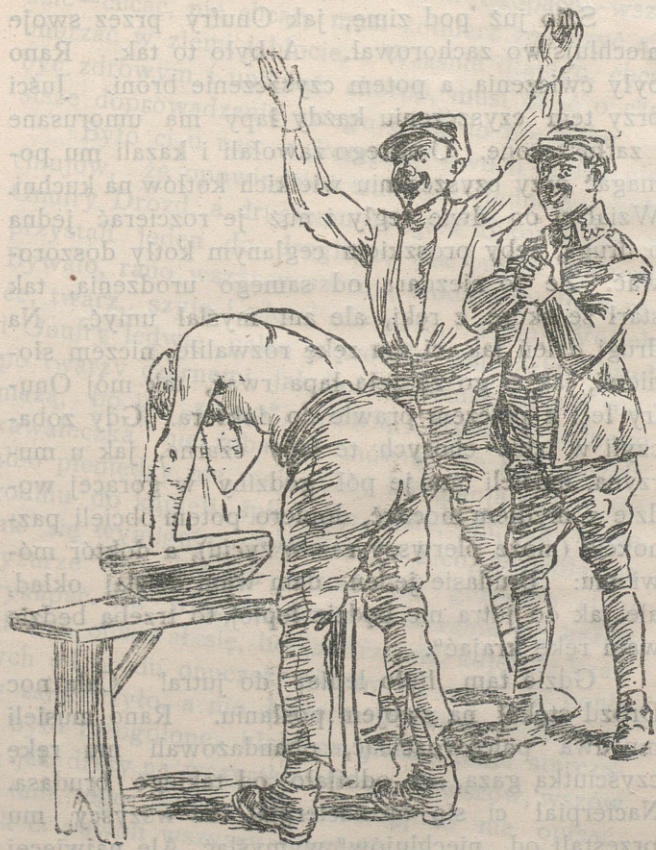
Wiadomo, że w brudzie i nieczystości lęgną się choroby, że człowiek brudny, nieczesany i nieumyty, nietylko wygląda, jak strach na wróble, ale i łatwo nabywa różnych chorób, przenoszonych z brudem. Ale jak tu żołnierzowi ustrzec się od zabrudzenia i nieczystości. W koszarach przy robotach gospodarczych i czyszczeniu broni na mu-

strze, a tem bardziej w marszu i w okopach—wszędzie—chcąc, nie chcąc, musi żołnierz zakurzyć się, unurzać w ziemi i błocie. Właśnie dlatego, chcąc być zdrowym i uniknąć chorób, musi dbać o częstsze doprowadzanie swego ciała do porządku.

Było ci u nas w kompanji dwóch takich niechlujów, że opowiedzieć trudno. Jednemu było Onufry Drozd, a drugiemu Wojtek Sikora. Tak ci przystali jeden do drugiego, jak bracia rodzeni. Bywało, rano wszyscy szorują wodą z mydłem ręce, twarz, szyję i piersi do pasa, a mój Wojtek i Onufry ledwie palce w wodzie zmaczają i brud po twarzy czarnemi, jak boska ziemia, łapami rozmażą, bo im „zimno“, mówią. Mydła u żadnego kawałeczka nie zobaczy, mówią, że nie dostali, albo pieniędzy nie mają. Gdy kompanja raz w tygodniu do kąpieli, śpiewając, idzie, oni, jak mogą tak się wymigują. Śmieli się z nich, że woła, na dyżurze w koszarach zostać, jak grzeszne ciało wykapać. Na wieczór, przy rozbieraniu się każdy od nich odsuwał się, bo jak trzewiki zdjęli, z czarnych od brudu onuczek taki smród szedł, że konia by zamroczyło, a nie dopiero człowieka. Zawsze to było nieogolone, kłaki na głowie temu sterczały, jak druty na wszystkie strony, a wszów, wszów co tam tego było w ich ubraniu, to nie opisać. Tak ci powoli wszyscy od nich się odsuwali, aż pan sierżant kazał im oddzielnie przy drzwiach se posłać, żeby reszcie kompanji życia nie obrzydiali

Szło już 'pod zimę, jak Onufry przez swoje niechlujstwo zachorował. A było to tak. Rano były ćwiczenia, a potem czyszczenie broni. Juści przy tem czyszczeniu każdy łapy ma 'umorusane i zatłuszczone. Onufrego zawołali i kazali mu pomagać przy czyszczeniu wielkich kotłów na kuchni. Wziął ci on dwie cegły i nuż je rozcierać jedna o drugą, żeby proszkiem ceglany kotły doszorować. Że to niezdara od samego urodzenia, tak starł se skórę z ręki, ale ani myślał umyć. Na drugi dzień jak ci mu rękę rozwalilo, niczem słoniowi, jak ci go zaczęła łapa rwać, tak mój Onufry leci z płaczem prawie do doktora. Gdy zobaczyli w izbie chorych te łapy czarne, jak u murzyna, musieli mu je pół godziny w gorącej wodzie z mydłem moczyć, dopiero potem obcięli paznokcie (może pierwszy raz w życiu), a doktor mówi mu: „Brudasie jeden, dam wam dzisiaj okład, ale jak do jutra nie będzie lepiej, to trzeba będzie wam rękę krajać“.

Gdzie tam było lepiej do jutra! Całą noc Drozd stękał na swoim posłaniu. Rano musieli mu dwa palce rozcinać, obandażowali mu rękę czyściutką gazą, aż odbijało od takiego brudasas. Nacierpiał ci się on nacierpiał, aż wszyscy mu przestali od „niechlujów“ wymyślać. Ale najwięcej do serca wziął sobie chorobę Drozda jego kolega brudas Wojtek Sikora. Na drugi dzień po operacji Drozda „wiara“ patrzy i oczom nie wierzy:



Co robisz Sikora, przecie woda zimna!...

Wojtek Sikora ściąga rano koszulę i zaczyna razem z innym szorować się mydłem z wodą. Wszyscy go pytają: „Co robisz Sikora, przecie woda zimna“. A on na to: „Nie lubię ja wody, ale jeszcze gorzej, jak wody boję się krajania“. Tak ci choroba Drozda poprawiła jego przyjaciela. Odtąd Sikora zaczął myć się, golić i czesać, nawet paznokcie sobie obcinał i nogi mył co drugi dzień. Wszyscy przestali od niego stronić i on sam miał się lepiej. Nic dziwnego: czysty, ogolony, umyty żołnierz czuje się rzeźkim i świeżym, jest przyjemny dla siebie i innych.

Jak Maciej Kraska o mało co nie zamarł na śmierć w sam dzień Trzech Króli.

Za naszymi koszarami jest duża łąka zielona, gdzie latem konie bataljonowe szczypią małą trawkę, a zimą wichur tylko hula, miotając tumany śniegu na szopy stajenne i stare wierzby powykrzywiane, co rosną se nad rowem. Na końcu łąki stoją wielkie drewniane baraki jeszcze za moskala postawione, a w nich wiele dobra różnego na wojnę złożone. Nie lubią ludzie stać tam na warcie, nie przez to, że samotnie w polu, bo żołnierz z karabinem w garści samego djabła ma gdzieś, ale że to baraki wielkie i upilnować trudno: zajdziesz z jednej strony, a myślisz, czy aby kto nie załaził z drugiej.

Do tych to baraków dalekich wyznaczyli na wartę Maćka Krasę w dzień Trzech Króli. Zima była tego roku tęga, śniegu namiotło koło ścian, a ostry wiatr co chwila nowe garście w oczy chudziaka ciskał. Sam był, zdaleka widział tylko światła w oknach koszar, z drugiej strony baraku i tego nie było, w ciemności tylko szumiały suche osty, co ze śniegu niewiele już sterczały. „Jakoś te dwie godziny przełażę“, pomyślał Maciek, poprawiając karabin, którego pas co chwila z kożucha się zsuwał. Mróz brał coraz tęższy, raz wraz trzeszczały gąty na dachu baraku, ale Maciej nie dawał się zimnu.

Z początku chodził w łapciach słomianych na buty włożonych, ale gdy nogi mu przemarzły, zrzucił łapcie i zaczął biegać wokoło baraku, by się rozgrzać. Kożuch był ciężki, ale Kraska biegał, bo czuł że mróz powoli od kolan go przenika. Po chwili zagrzał się, ale nie na długo, biegał więc znów, aż całkiem się zmęczył. Chodził więc już tylko po stronie, gdzie nie było wiatru, powtarzając sobie: „Byle się nie zatrzymać, bo zamarznę!“ Tak chodził jeszcze z pół godziny. Zegar na koszarach wybił północ, zostaje godzina do zmiany. Maciej, zmęczony, zatrzymał się chwilę przy budce i oparł o jej ścianę. „Postoję se chwilę, pomyślał, a potem dalej chodzić będę, baraków pilnować“. Ale przy budce cieplej było i wiatr jakoś mniej dokuczał, tak Krasce niesporo było z miejsca się



jc

Ale co tak ciepło, to matka widać, na kominie warzę gotują.

Nadbiegł doktor, dał lekarstwo zaszły na wymoc-
 nienie i nohi musztunne obdhanie at zaszły
 zipsd na dhanst i nawetocy otworzył. Wtedy do-

ruszyć. Nawet zaczęło mu robić się dziwnie ciepło i dobrze. „Dziś Trzech Króli, myślał, chłopaki we wsi przebierają się, kto za dziada, kto za żyda, kto za śmierć i dziewczyny po wsi straszą. Hej, dziewczuchy... co to teraz robi Maryśka od „somiada“, co przez płacz uściskała Maćka, gdy do wojska ze wsi wychodził. Ale co tak ciepło, to matka widać, na kominie warzę gotują i gorąco bije na człowieka!“....

Już godzinę stoi tak Kraska, oparty w rogu między budką i ścianą baraku....

Od koszar, po zasypanej ścieżce idą jakieś trzy cienie. To zmiana.

„Hej, Kraska, a co to, śpicie na warcie?!“ woła rozprawdzający, tarmosząc zwisającą postać w kożuchu.

„Ola Boga, to on zamarzl! krzyczy po chwili, biegajcie ostro na wartownię po czterech ludzi z kocem, a wracajcie, ja tu zostanę!“ Za chwilę Krasę nieśli na kocu ostrożnie do koszar. Komentant warty posłał po doktora. Tymczasem nie dał Maćka wnosić do ciepłej izby, ale położył go na dworze na kocu, kazał powoli zdjąć kożuch i rozcierać mu śniegiem ręce, twarz i piersi. Gdy zmarznięty zaczął po trochu oddychać kazał go przenieść do sieni, a potem dopiero do chłodnej izby. Nadbiegł doktor, dał Krasce zastrzyki na wzmocnienie i robił mu sztuczne oddechanie, aż zaczął zipać na dobre i nawet oczy otworzył. Wtedy do-

piero przenieśli go do ogrzanego łóżka w izbie chorych i napoili gorącą kawą.

Na drugi dzień, gdy przyszedł do siebie, przyznał się Kraska, że przed pójściem na wartę wypił kieliszek wódki w sklepiku naprzeciwko, żeby się „rozgrzać“ i tak go te trochę gorzałki na mrozie zamoczyło.

„Ano widzicie teraz, że wódka na mrozie na chwilę rozgrzeje, ale potem oziębi i zamoczy bardzo łatwo“, powiedział lekarz. „Dziękujcie komendantowi warty, że was zmarznętego nie pozwolił wnieść odrazu do ciepłej izby, ale na zimnie śniegiem rozcierał. Jakby was odrazu w ciepło dali, takby było dziś po was“... Mróz nic nie sfolgował, więc na drugą noc oficer inspekcyjny kazał zmieniać posterunki co godzina.

Dlaczego Pietrek Swawola zemdlął w marszu.

Chwacki był chłopak Pietrek Swawola! Nie ma co gadać, równego mu chyba w kompanji nie było i nie będzie. Na służbę nigdy nie narzekał, na patrol wyjść, wroga wysledzić, a potem na „hura“ iść na niego — zawsze był gotów.

Prosty był i galanty chłopak i, chociaż w podartem nieraz utetłanem ubraniu, jak to na wojnie, ale gdy czapkę na bakier nasadził, dziewuchy za nim jak słoneczniki za słońcem wodziły. Ano,

przytrafiło się i jemu nieboże raz w marszu zemdleć, o co później długo wstyd go palił. A stało się to tak. Maszerowaliśmy w Lubelskiem i przed jedną wsią, zdaje mi się, nazywała się Borki, wysłali Swawolę z kwatermistrzami. Do tego on jedyny. Poprawił plecak, zarzucił karabin na ramię i poleciał na czoło bataljonu, tylko mu bagnet i manierka dzwoniły. Jak tam było nie wiem, ale gdyśmy z kompanją do wsi zakurzeni i zmachani wchodzili, Swawola już stał przed chałupą sołtysa, umyty, z gałązką bzu przy czapce, koło niego pękata córka gospodarza trzymała dwa wielkie kawały chleba z twarogiem. No, wiadomo kwatermistrzom o wszystko wystarać się najłatwiej, nim „wiara“ hurmem nadciągnie. Ale Swawola myślał nietylko o sobie. Chałupy i stodoły kredą ponaznaczał, komu kwaterować, a nawet zameldował lekarzowi bataljonu, że w jednej chacie chory leży. Dobrze zrobił bo to był tyfus, tak w tej chałupie nikogo nie kwaterowali, wody ze studni brać nie dali i nikt u nas nie zachorował. Kwatery były wygodne — wiara po stodołach rozłożyła się na noc, kości po marszu wyprostować. Bieda w tem że u sołtysa były chrzciny. „Wiara“ trochę potańcowała, ale o dziewiątej wieczór wszystko było już w stodołach. Tylko nie Swawola. On wymkął się po cichu, na chrzciny wrócił i z sołtysówną do rana wywijał. Ledwo przed pobudką do stodoły wpaść zdążył, że niby spał. Ale gdzie, nawet trzewików

przezuć i onuczek poprawić nie miał czasu. Zbiórka, odmarsz!

Jeszcze we wsi mój Swawola trzymał się i na sołtysównę jak kot na sperkę gapił się, ale gdyśmy minęli opłotki, osowiał i łeb zwiesił. Juści, trudno maszerować jak kto całą noc tańcował. Marsz był ciężki po wilgotnej glinie, było parno, niskie chmury przewalały się nad ziemią i wszystkim wnet duszno się zrobiło. Słońce gdy wyjrzało na chwilę zza chmur, przypiekało jak na złość, choćby trochę chłodnego wiatru — sama — spiekota na „wiarę“ przysła.

A cóż dopiero na Pietrka! Aż ludzie zauważyli: „Swawola to, czy to nie Swawola?“. Idzie błądy, zgarbiony, a nawet na nogę utyka.

Pozwolili kołnierze porozpinać, karabiny pozawieszać na pasach i rozluźnić kolumnę, żeby jakiś przewiew zrobić, ale i tak było ciężko. Na pierwszym odpoczynku Swawola przezuł jednego buta, ale drugiego nie zdążył. Pot zaczął spływać po nim, w oczach mu ćmiło się, ledwie już trzymał się na nogach.

Włókł się już tylko przez wstyd, żeby nie „marodować“ gdy kompanja naprzód idzie. Zaśpiewali „Do naszego wojska“ „Rozkwitały pęki białych róż“, ale Swawola już nie śpiewał jak zawsze. Na drugim wypoczynku gdy chciał wstać, zatoczył się i musieli go podtrzymać. Położyli Swawolę na murawę i wezwali doktora. Ten kazał rynsztu-

nek zdjąć, porozpinał pasy, mundur i spodnie i ułożył Pietrka w cieniu wierzb. Leżał z zamkniętymi oczami, blady, ciężko oddychając spieczonemi ustami. Położyli mu mokrą szmatę na głowę i jechał już na wozie. Doktor powiedział że zemdłał z przemęczenia. Juści przemęczył się nie maszerując, tylko na chrzcinach hulając. Żołnierz w marszu musi wysilić swoje siły. Przed marszem więc grunt to wypocząć dobrze i nogi zaopatrzyć. Inaczej będzie z człowiekiem, jak było ze Swawołą.

Jak zginął Józef Drzazga.

Wesoło i zacisznie w naszym lesie. Na drzewach i ziemi biało, jakby świętemu Piotrowi sto rozprutych pierzyn wysypało się z nieba na ziemię. Choć mróz siarczysty, ale jak słońce między drzewa zajrzy, zaraz wiewiórki, dzięcioły i inszy drobiazg na drzewa wyłazi i robi lato. Wyłazi do słońca i wiara z ziemianek, choć nie wszyscy dostatnio odziani. Niejednemu kożuszka albo płaszczka brakuje. Szedł i do niego przyodziewek z Polski, ale gdzieś widać na rzekach, jeziorach, drzewach i krzakach cośmy je dawno minęli — ostał i nie doszedł do kompanji. Tak chłop z gołym zadkiem się nosi. Długo na dworze siedzieć nie potra. Człowiek podłubie se łopatą albo kilofem koło zmarzniętych okopów, drzewa nanosi i hajda

do ziemianki, gdzie w starym wiadrze blaszanem, postawionem na ceglach palimy jak w piecyku. Piecyk mały i zakopcony, ale grzeje dobrze, a drzewa zjada tyle, że najlepszy intendent umarłby ze zmarznięcia, jakby przy takim rozpalonym wiaderku posiedział, zimno tylko jak poszła na łącznika do tyłu, albo postawią na czujkę... Ztyłu za lasem jest rzeka bo stoimy na przyczółku mostowym. Na rzece przeciąg, jakby w izbie wszystkie okna pootwierał, wiatr huczy i wyje i śniegiem w ślipie ciska, jak człowiek idzie z pocztą, albo rozkazem po długąśmym moście na „nasz“ brzeg. Tak ci człowieka na wylot przewieje, aż dziw, że wszy żywe doniesie do ziemianki. Nie cieplej na posterunku. Całe szczęście, że bolszewicy boją się nas i wcale nawet patroli nie wysyłają, tylko siedzą gdzieś za gajami, borami, okopami. Mało też posterunków stawiamy koło drutów i człowiek rzadko zmarznie. Najwyżej wylizają na posterunek gdzieś z krzaków „bieżeńce“, albo baby po sól od bolszewickiej strony. Młodej to by tam człowiek może i „przysolił“, ale wychodzą same stare, to się je wedle rozkazu do kompanijnego na przesłuchanie prowadzi. Zato my chodzimy do bolszewików—robimy na nich wypad. Kilka dni temu wyszliśmy na taki wypad. Wyszedł porucznik i nas szesnastu. Obudzili nas, jeszcze całkiem ciemno i wyszliśmy za druty przed świtem. Potem odrazu poprowadził porucznik w bok na ścieżkę, którą

po sól przychodzą, bo taka ścieżka najprędzej czujki bolszewickie ominie. Był w naszej sekcji Józek Drzazga, co miał na drugi dzień na urlop jechać. Idzie ci on za mną, ogania się od mokrych gałęzi i mówi: „Dobrze mi, na „bolszewnika“ od maja chodzę i nic mi. Tero na urlop do ojca pojedzie to się człowiek za całą zimę nażre i wyśpi. Wróce z takimi pyskami i siedzyniem jak dziewucha“.

— A ty skąd, Józek, pytam. „Ja zdaleka z piotrkowski gubernji“. Tero człowiek dużą Polskę wyłazi, to jak jutro pojedzie będzie dopiero za trzy dni w domu“. — Nie wolno rozmawiać! — doszło od przodu, od porucznika i zaczęliśmy iść już cichutko naprzód. Niedługo zaleciało dymem, patrzymy, a tu całkiem z boku siedzą ci bolszewicy przed ziemianką przy ognisku, widać „kartoszki“ gotują, a jeden chodzi i patrzy w las, ale gdzie — w drugą stronę. My na nich hura! oni w nogi. Inni jeszcze [wylatują z ziemianek i wszystko do lasu „nogę“ daje. Postrzelaliśmy trochę za nimi, oni też — trochę i dalejże do ziemianek i kartofli. Takie też to i ziemianki! Małe, ciasne, brudne, w żadnej piecyka. Śpią na ziemi w barłogu, jak niedźwiedzie. Wzięliśmy w jednej ziemiance karabin maszynowy, tylko nóżki złodzieje złapali ze sobą i na co to im? Był jeszcze płaszcz i kilka worków, w których różne różności bolszewickie, nawet parę sztuk bielizny. Z jednej ziemianki pię-

ciu śpiących bolszewików wywlekli. Jeszcze my to wszystko oglądali, a wiara do ziemniaków zabrała się, bo były już okrutnie dogotowane, słysząc ktoś stęka. Patrze ja, a Józek siedzi koło ziemianki na ziemi, oczy zamknął, blady jak trup i rękami za brzucho się trzyma. Tak ja do niego: „Józek, co ci bracie? a on: „Bolszewniki, mówi, w brzuch me trafiły“. Wzieni my go zara na „celte“ i ponieśli. Ciężko było, chłop był niczego rosły, a trza było jeszcze jeńców, co nieśli „maszynkę“ pilnować, no i worki zostawiać było nijako. W połowie drogi do naszych drutów stanęliśmy wypocząć i położyliśmy Józka na śniegu. Zwiesił głowę na bok, ręką pomaluśku śnieg zgarnie i do gęby pakuje. Tak ja łaps go za rękę: Józek, mówię, bój się Boga, przecie wiesz, że rannemu w brzuch nie jeść ani pić nie wolno, bo to szkodzi!“ On na to: „Mdli me, w oczach mi ciemno, daj mi choć kawy, jeżeliś mój kolega, bo tak tu zamrel!“ Myślę sobie: „jadł śnieg, to dam mu trochę kawy“ — i dałem. Wypił jakoś niedużo, kilka łyków, skrzywił się, ale mówi; „Dziękuję ci bracie, ześ mi nie pożałował“. Wzieniśmy go znowu i do nieśli do ziemianki. Sanitarjusz opatrzył dwie takie całkiem nieduże ranki z boku brzucha. Zatelefono wali po doktora do bataljonu, niedługo przyjechał. obejrzał ranę i mówi: „No rana w brzuchu, wiadomo, rzecz ciężka, ale może jeszcze wyjść, grunt nic jeść i pić nie dawać, bo wtedy chłop przepadł“.



Myślę sobie jadł śnieg, to dam mu trochę kawy i dałem...

Przystąpił do kompanii w czasie przemaszeru batalionu przez ziemie Sandomierskie, a to, że było akurat sanitarzysta, więc dało mu do zrobienia stare, zniszczone, pamiętające jeszcze wystrzał miazg, suzyców z Krakowa, nosze pod ramiączkami. Zbudowane były z dwóch drążków bambusowych

Jeszcze on ci mówił, a ty miałeś jak zazwyczaj kawę tygrys! Rytm i twój z niego czarujmy! Takie doktor zajął: "Kas, mu dal kawy, pie kdzic jezany ten zjóbca?!" Wszystko na mnie, parzana doktorów do mnie po cichu: "No to, dacie, zadajesz koleje zesz mu dal pić?!" Nie mogłem wzięty, kółko kład

Jeszcze on ci to mówi, a tu mój Józek jak zacznie kawę rzygać! Rwie i rwie z niego czarnym. Tak doktor zara: „Któż mu dał kawy pić, gdzie jest ten zbójca?!“ Wszyscy na mnie patrzą, a doktor do mnie po cichu: „No to, bracie, zabiłeś kolegę ześ mu dał pić!“ Nie mogłem uwierzyć, że Józek umrze przez moją kawę, com mu ją przecie dał z dobrego serca, żeby go wzmocniło. Siedziałem przy nim w nocy. Gorący był i gadał nieprzytomnie! „Dobrze mi, na „bolszewnika“ se chodze, a tera na urlop wyjadel!“ Potem znów rzygał i na rano był gotów. Oczy i gęba mu wpadła, nos wydłużył się i umarł. Pochowaliśmy Józka, co urlopu nie doczekał, pod sosną i krzyż ustawili. Ja miejsca se znaleźć nie mogę, ciągle widzę zieloną twarz Józka, jak rzygał kawę i sumienie mówi, że nie trza było pić dawać, choć prosił. Chłop był mocny, może byłby tę ranę przeżył, a tak — zmarznąętą ziemię gryzie.

Tarapata.

Przystął do kompanji w czasie przemarszu bataljonu przez ziemię Sandomierską, a to, że brakło akurat sanitarjusza, więc dano mu do noszenia stare, zniszczone, pamiętające jeszcze wymarsz strzelców z Krakowa, nosze pod rannych. Zbudowane były z dwóch drążków bambusowych

i wielkiej płachty ciężkiego, grubego płótna. Poprzeczki gdzieś dawno zginęły i nosze były na wyrzuceniu, bo w innych kompanjach już zaprowadzono znacznie lżejsze i wygodniejsze.

Tarapata, niski, krępy, lekko zgarbiony chłopina, o niebieskich, łzawych ślepiach i czerwonych policzkach, pokrytych ryżą szczecina, jak był, w zamoczonych portkach i spencerku, stanął na końcu kompanji i wziął nosze na ramię. Chwilę przymierzał ciężar drążków i zmoczonego płótna, później przechylił dla równowagi głowę i korpus, sapnął i powiedział krótko: „fertig!” (gotowe). Utdął, czy prażyło słońce, czy siekł skośnie deszcz z boku lub w oczy maszerującej kompanji, zawsze dreptał z tyłu, bez widocznego wysiłku i pośpiechu, Tarapata, dźwigając, jak sztandar, płachtę staroganych noszy. Jeżeli wiatr był przeciwny, zwijał starannie płótno, by osłabić prąd powietrza, jeżeli sprzyjał marszowi, rozwijał tryumfująco część noszy i poprostu płynął, podrywany pędem wiatru. Mrużył przytem wąskie szpary powiek i łapiąc szeroko ręką przestrzeń, mówił z zadowoleniem: „Człowiek jedzie jak „dampfer” (parowiec)!

„Tarapata a czemu wy po szwabsku gadacie?” — pytano w kompanji.

„Bo jo — starz „Wanderer” (włóczęga), był parobkiewicz u młynarza. U „mimców” duże Mühle (młyny) różne: wiatraki, młyny wodne, młyny parowe. U Polaków niema młynów parowych. Wi-

dzioł jo i morze mimcy mówią „See“, w Lübeke, w Gdańsku wszędzie duże parowce chodzą do Ameryki, ale kto chce jechać musi mieć dużo, dużo „geld“ (pieniędzy). Chciał ja jechać, ale, gdzie, nie przyjęli. Tak ostoł ja u mimców u młynarza służył, Mimce dają dużo jeśé i syr i sadło i masło. Tam jo był, Krieg (wojna) sie zrobił, jo uciek.

Poszed jo do polskiego Müllera — młynarz nazywają, pokłócił się z nim, widze jakieś wojsko idzie, po naszymu gadajom, tak jo przystoł i „wandruje“ (podróżuję).

„To wy nie widzieli, że my polskie wojsko?“

Idź, nie widzioł, chcioł jo iść z inszymi, ale nie chcieli wziąć, coś ino krzyczeli, to jo poszed z wami“.

Tarapatę w kompanji polubili, chłop nikomu wo-
dy nie zamącił. Jedno tylko — strasznie był „żerty“. Menażkę schował na dno chlebaka, jako zbyt drobny i kruchy przedmiot, a jadał z dużego, wyszczerbionego, żelaznego garnka, który przyniósł z sobą „z cywila“ i, który nosił na pasku. W garnku tym zostawiał zwykle resztki swojego lub danego mu przez kolegów, jedzenia i posilał się nimi w czasie spoczynków kompanji. Przy rozdawaniu „zupy“ usiłował stawać w kolejce, ale bywał sromotnie odpędzany przez dyżurnego podoficera.

Czekał więc zwykle po spożyciu własnej

„krzyny“, czy nie zostanie coś w kotle i wtedy, w warunkach sprzyjających, lekko spożywał drugą i trzecią porcję. Stopniowo przyuczono się patrzeć na to przez palce, bo silna namiętność Tarapaty zwalczyła martwe przepisy normy odżywiania. Namiętność ta pozwoliła mu zostać w krótkim czasie starym żołnierzem.

Zdarzyło się, że kompanja Tarapaty poszła w pierwszą dla niego bitwę nad ranem, nie jedząc od obiadu poprzedniego dnia. Tarapata głodny i zniechęcony położył się z noszami w linii. W ogniu bitwy stracił odrazu fantazję „Wanderera“ przytulił się do ziemi za pnem olszyny i nie dał ruszyć się niczem z miejsca.

Dopiero jeden z żołnierzy wpadł na pomysł i zawołał: „Tarapata kuchnia przyjechała!“

Skutek był natychmiastowy. Tarapata porwał się, odczepił garczek i jął biec we wskazanym kierunku. Cała kompanja ryknęła śmiechem a Tarapata był tak stropiony i zrozpaczony brakiem jedzenia, że chodził już i stał mimo kul i pocisków.

Odtąd ogień bitwy dla niego nie istniał, prosto zrozumiał, że nie warto na to zwracać uwagi.

Pierwszy ranny, którego złożono na nosze, zadziwił niezmiernie Tarapatę. Dotąd traktował chodzenie i dźwiganie noszy za kompanją jako włóczęgostwo, jako sport.

Dopiero w bitwie zrozumiał właściwe przeznaczenie noszy. Zrozumiał i odczuł.



Długo w bitwie rozumieli właściwie prze-
 wiedzogostwo, jako sport.
 zabiłi niezmiernie Tarapata. Dodał traktował
 Pięwszy tany, którego ziono na nosze,
 prostu znoś. **Tarapata! Kuchnia przyjechała!**

Odrazu jakoś dziwnie lekko ujął drążki i niósł pierwszego rannego z braterską pieczołowitością. Nosze z tą chwilą nabrały dużego znaczenia.

„Patrzcie—no, jakto taki ranny człowiek wygodniuszko se na tym liga“, powtarzał Tarapata, mile zdziwiony opieką, jaką otacza się żołnierza.

Zaraz po pierwszej bitwie wyprał nosze czyściutko w rzece i odtąd otaczał je jeszcze większym szacunkiem, niż przedtem. W marszu nie oddawał ich już ani na chwilę drugiemu sanitariuszowi, na co ten zresztą bardzo chętnie się zgadzał.

Każdą dziurkę i pęknięcie płótna starannie reperował na postojach, twierdząc, że „takiemu rannemu musi być dogodnie ligać“.

Nosze odtąd nietylko nie straciły, ale zyskały bardzo na swym wygładzie i mocy. Poza tem całe obejście się Tarapaty z rannymi sprawiło, że każdy chciał być przez niego opatrzony i odniesiony. Porcje dodatkowe zwiększyły się i Tarapata nie zaznawał już głodu. Garczek przy pasie prawie stale był napełniony. Sam Tarapata nabrał już prawdziwej żołnierskiej fantazji. W marszu podginał poły płaszcza, zakładał je za pas, zawijał przydługie rękawy i płynął za kompanją z noszami.

Raz nawet Tarapata miał przygodę miłosną. Kwaterował u młynarza. Co było w nocy niewiadomo. Dość, że rano młynarzówna wybiegła do niego, gdy już stał z noszami za kompanją,

niosąc olbrzymi ser, który za chwilę zniknął w chlebaku Tarapaty, przy głośnych okrzykach zazdrości całej kompanji.

„A niech Pan do nas napisze, niech se Pan zapisze nasz adres“ mówiła, zarumieniona od snu młynarzówna, patrząc, jak w tęczę w oczy Tarapaty który, był dziwnie blady i jakoś nawet z sera nie cieszył się, jak należy.

Cała kompanja zamarła w oczekiwaniu, co zrobi Trapata, bo wszyscy wiedzieli, że nietylko pisać, ale nawet czytać zupełnie nie umie. Chwilkę wachał się, ale wnet dumnym ruchem, choć drżącą ze wzruszenia ręką, wyciągnął z kieszeni płaszcza kawałek starej gazety, wetknął go w rękę najbliższej stojącego żołnierza ze słowami:

„Zapiszcie adres paninki“.

Tak Tarapata nie uronił swej godności względem młynarzówny. Długo, pierwszy raz w życiu, włóczęga Tarapata oglądał się na gościnny wiatrak i był tak markotny, że nawet na parę godzin dał do niesienia nosze drugiemu sanitarjuszowi mówiąc:

„Ponieście ino, cóż jo to ciągiem będę turgał!“.

Śmiano się z niego, że parobkiem mu być na wiatraku, a nie żołnierzem, kiedy tęskni za młynarzówną, ale Tarapata, choć markotny jeszcze machnął ręką: „Nasze, polskie je wojsko, trza za nim maszerować!“

Tak i został. Po roku zrobili go starszym żołnierzem, ale nosze wciąż nosił.

Przyszło lato, ruszyliśmy naprzód. Moskale „megaly” przed nami, że ledwo nadążyć. Co noc zostawiali straże tylne, które nad ranem patrolami spędzać trzeba było.

Jednego ranka, gdy świtało, starszy żołnierz Tarapata nagotował se garczek ziemniaków, już okrasił i czekał, aż trochę przestygną, opowiadając jak po wojnie rzuci „wandrowanie” i z młynarzówną się ożeni i sam będzie „Müller”. Kompanja leżała w linji, już wysłano patrole pod moskiewskie okopy. Gdy Tarapata łyżkę do gęby podniósł i nosem łapał zapach kartofli ze słoniną, wpadł żołnierz z patrolu, że „za tamtą gruszą postrzeliło starszego żołnierza Gądka”. Tarapata jedną chwilę nie wiedział co robić, potem bryzgnął garczkiem, złapał nosze i zaczął biec z białą płachtą nad głową, prosto do wschodzącego słońca, w kierunku moskiewskich okopów. Koło gruszy, gdy wybiegł z łubinu w tatarkę, kule zaczęły mu bzykać kołozusu. W biegu rozkładał nosze. Drugi sanitariusz i żołnierz z patrolu zostali wtyle. Nagle biała płachta nad głową Tarapaty zachwiała się, zwinęła i runęła z nim razem na ziemię. Upadł na nosze, grzebiąc i czepiając się pazurami wolnej ręki czarnej, wilgotnej od rosy ziemi. Już Tarapaty nie podnieśli. Zakopali w tem miejscu, w tatarce pod gruszą, gdzie przestał wandrować ułapiwszy się

pazurami czarnego zagona. Nosze oddali na wóz, bo nikt nie potrafił targać takiego ciężaru. Wydano dla kompanji inne, lżejsze.

Ziemiaki ze słoniną zjadła wiara i wszyscy przyznali, że Tarapata był morowy chłop. Nie pożałował swego życia, by ratować kolegę. Taki powinien być każdy sanitariusz.

Jak był ranny Wojtek Zawisłak.

Gorąco było naszym! Dwa dni prali mochy w okopy ciężką artylerją, aleśmy wytrzymali. Dopiero, jak na trzeci dzień obeszli nas z prawego skrzydła, i w szarych płaszczach, jak karaluchy, krzycząc przeciągle „hura“ wleźli już do zagajnika, gdzie stały nasze tabory, trza było wiać. Cofaliśmy się plutonami wolno, w porządku od prawego skrzydła, mochy leźli za nami. Gdyśmy stawali brat koło brata i z bagnetem na nich szliśmy, zatrzymywali się na chwilę, ale wnet chmara ich skrzydła nasze zalewała i musieliśmy znów z takiego worka wyłazić. Szedł nie gorzej od innych na moskala i Wojtek Zawisłak. Nie jadł i nie pił od wczoraj, choć było już dobrze z południa, ale zacisnął spieczone usta i szedł. Gdy właśnie nową łódkę do karabina ładował, poczuł nagle, jakby ktoś go batem zaciął w prawy bok. Jeszcze załadował i zmierzył się, gdy ręka mu opadła, po-

czuł dziwną duszność i krew nagle gębą mu się rzuciła. W oczach mu zaćmiło się, wsparł się o kolegę, patrzy jak przez mgłę, a tu nasi już się cofają! W huku wystrzałów usłyszał tylko jeszcze: „Zawiślak ranny, sanitarjusz!” Potem zemdlał...

Gdy za chwilę otworzył oczy, zobaczył nad sobą wierzchołki sosen i niebieskie, bez jednej chmurki niebo. Leżał nawznak na noszach, bujał się na nich, niesiony przez dwóch sapiących sanitarjuszy. Szli przez gęsty zagajnik. Co chwila przebiegali z początku nasi, a potem i moskale zaczęli się pokazywać. „Prędzej tam z noszami, krzyczał jakiś głos, bo moskale was zagarną!”

„O, la Boga nie rzucim go przecie, zaczekajcie jeno krzynkę!” wołał któryś z niosących.

Wypadli na małą polankę, paliły się tam jakieś baraki, co stały za frontem. Kawały opalanej papy fruwały w gorącym powietrzu, jak czarne nietoperze. Przebiegli przez wąskie przejście pomiędzy dwoma barakami i wpadli znów w zagajnik, który tlił się miejscami. Pięciu naszych z zagajnika prało do moskali, pokazujących się między barakami. Stąd było już trochę lżej. Sanitarjusze nawet postawili na chwilę nosze i coś nie coś odzipnęli. Dalej był mostek na rzeczce, a za rzeczką na wzgórzu piaszczystem — okopy rezerwowe! Już tam byli nasi, już nasza maszynka zaczęła trajkotać na moskali!

Zawiślak i sanitariusze odetchnęli. „Taki my go mochom nie dali!“ powiedział jeden. Tuż za okopami był lekarz bataljonowy. Gdy ustawili nosze i rozpięli na Wojtku mundur i koszulę, okazało się że jest ranny w prawe płuco. Doktor rozwinął opatrunek Zawiślaka, nie dotknął ręką (uchowaj Boże!) rany ani opatrunku w tem miejscu, co przyszło na ranę i lekko przybandażował. „Nieście na wóz!“ powiedział krótko. Niedaleko były wozy, wykoszczone słomą. Ułożono Wojtkę na słomie i za parę chwil powieźli. Nacierpiał się, nim do szpitala dojechał, ale, że nikt mu rękami do rany nie dotykał i opatrunek miał czysty, więc rana nie ropiała i zagoiła się prędko. Za parę tygodni wypuścili go ze szpitala na urlop, a w półtora miesiąca był już zpowrotem w kompanji.

Kto dotyka rękami rany, albo tego kawałka opatrunku, który ma pokryć zranione miejsce, ten gubi kolegę! Gdyby Zawiślak był brudno opatrzony, nie wrócił by nigdy do kompanji.

Jak Bartłomiej Kaczorek strzelał do Czernonego Krzyża.

Staliśmy w Nowym Sączu, gdzie kobiety żołnierzy jak braciom, albo i nie braciom na szyję rzucały się po wypędzeniu moskali. Szły święta Godowe i każdy „wilję“ miał już narychtowaną na

mieście, kiedy przyszedł nagle rozkaz odmarszu. „Poco, dlaczego, przecież tu już świętujecie i wszystko gotowe!” wołały zrozpaczone, pocziwe mieszczuchy. Nic nie pomogło. Świeżo sformowana I-sza brygada stanęła na rynku, orkiestra zagrała marsza i — poszliśmy na moskała. Po paru dniach unurzani w błocie, jak nieludzkie stworzenia, doszliśmy pod Tarnów do wsi Łowczówek. Rano tego dnia moskale austriakom łanie sprawili i my prawie z kolumny marszowej do ataku poszli. Trzeba było odbierać co inni puścili. Poszedł i nasz pluton z innymi mieścić glinę i błoto przez głębokie parowy i laski, z których wszędzie wyłaziło moskali, jak nasiał. Braliśmy do niewoli, albo uciekali przed nami. Ale i u nas w plutonie paru nogami nakryło się, bo kulki szły nie z jednej, ale nieraz z trzech stron. Już ściemniło się bardzo i z Tarnowa światelka zaczęły mrugać na nas, jakby wołać do siebie, kiedy parowem podeszliśmy pod jakąś dużą, ciemną chałupę. Przed drzwiami wisiała mokra i brudna chorągiewka z czerwonym krzyżem. Spieszyliśmy się, żeby łączność jaką taką utrzymać, a i ludzi w plutonie było niewiele, tak plutonowy nasz Bartek Kaczorek mówi: „Chłopczy, szkoda czasu na patrolowanie, dać dwie salwy do okien i jazda dalej!” Zadzwończyły kulki po szybach, z chałupy odpowiedziały jakieś jęki i wycia.

„Ranni moskale tam być muszą!” zauważył któryś z wiary. — „A bierz ich djabli” odpowie-

dział plutonowy, niszcząc jednym słowem odrazu i samą myśl rozczulania się rannymi.

Ledwieśmy z boku zostawili chałupę, jak odezwał się głos: „Kto idiot?“ i za chwilę poszedł na nas ogień. Padliśmy i, po kilku strzałach, jednym susem wskoczyliśmy za Kaczorkiem do okopu moskiewskiego. Zabraliśmy kilkudziesięciu jeńców i karabin maszynowy, reszta zwała w ciemności. Ba, co z tego, kiedy kulka strzaskała kość w nodze Kaczorka i leżał w rowie, głośno stękając. Zaczęliśmy go wlec w tył i, na szczęście, koło chałupy z czerwonym krzyżem napotkaliśmy idącego do linji, doktora bataljonowego.

Ledwieśmy na jego rozkaz wnieśli rannego do izby, a tu ze wszystkich kątów z siana zaczęli czołgać się do nas pobandażowani moskale, zostawieni jako ciężko ranni, wołając: „Pomogitje, wody!“ czepiając się nóg i ubrania. Włosy nam stanęły na głowie od tego mrowia zrozpaczonych, porzuconych bez pomocy, rannych. Kaczorek choć każdy ruch bardzo go bolał, złapał doktora za rękę i mówi: „Nie zostawiajcie mię tu, bo to robactwo mnie rozdrapie!“ — „Nic wam nie będzie, mówi doktor, musicie tylko trochę tu poleżeć przynajmniej do rana, bo w nocy nie można was transportować ze złamaną nogą. Jedna tylko bieda, żeby moskale o świcie nie zaczęli ostrzeliwać chałupy, bo stoi bardzo na widoku“. A na to nasz Kaczorek: „E, no chyba takie złodzieje nie są, żeb



Reszta mocna i wolna od chorób będzie żyła pracując gdzie
i czem może dla dobra naszej Ojczyzny.

Na wojnie stracić musza być, ale gdy będą
od kuli wroga, a nie od chorób, wyniosą najwyższej
kilku na każdym stuleciu. Reszta, mocna,
wolna od chorób, będzie żyła, pracując, gdzie
i czem kto może, dla dobra naszej Ojczyzny!

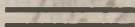
strzelali do chałupy, kiedy wisi na niej Czerwony Krzyż. Tu wiara nasza, choć to ranny, nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Doktor i moskale nie wiedzieli z czego ci ludzie śmieją się w tej chałupie, ale Kaczorek zrozumiał.

Szanuj rannych, nawet nieprzyjacielskich i nie strzelaj do ludzi i budynków ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Czy więc warto wypełniać te wszystkie przepisy sanitarne.

Opowiedziałem wam tych kilka historyj nie tak jak je przedstawiają w książkach, ale jak są w życiu. Widać z nich, że przepisy sanitarne nieraz są przykre dla człowieka, nieraz nawet dokucają, ale, jeżeli chcemy, żeby nie było z nami jak z Wojtkiem Kozikiem, Drzazgą albo Kaczorkiem, to zrozumiemy, że wypełniać przepisy sanitarne nietylko powinniśmy, ale dla własnego dobra — musimy.

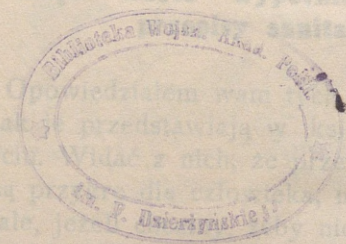
Na wojnie straty muszą być, ale, gdy będą od kul wroga, a nie od chorób, wyniosą najwyżej kilku na każdych stu żołnierzy. Reszta, mocna, wolna od chorób, będzie żyła, pracując, gdzie i czem kto może, dla dobra naszej Ojczyzny!



strzelali do chałupy, kiedy wisł na niej Czerwony Krzyż. Tu wiara nasza, choć to ranny, nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Doktor i moskale nie wiedzieli z czego śmieją się ludzie śmieją się w tej chałupie, ale Kaczorek zrozumiał.

Szanuj rannych, nawet nieprzyjacielskich i nie strzelaj do ludzi i budynków ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Kry więc warto wypełnić te wszystkie



Opowiadaniem wam kilka historyj, ale tak jakby przedstawiają w książkach, ale tak są w życiu. Widać z nich że przepisy sanitarne nieraz są pusty, ale rzadko kiedy, nieraz nawet dokuca, ale, jeżeli by nie było z nami jak z Wojtkiem Kozikiem, Orzega albo Kaczorkiem, to zrozumieć, że wypełnić przepisy sanitarne nietylko powinniśmy, ale dla własnego dobra — musimy.

Na wojnie straty muszą być, ale, gdy będą od kuli wroga, a nie od chorób, wyniesie najwyżej kilka na każdym stu żołnierzy. Kasza, mocha, wolna od chorób, będzie żyła, pracując, gdzie i czem kto może, dla dobra naszej Ojczyzny!

305725-103



13578/

/-7